№ 3 WARSZAWA d. 5 (17) Stycznia ROKU 1874



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 k. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. k. 50. Numer pojedynczy k. 15—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera; —W KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj, lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICJI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4 W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

STARZEC.

Przy chatce, przed progiem,
Staruszek na ławce spoczywa;
On siada tam codzień, a każdy przechodzień
Swą głowę przed starcem odkrywa,
Obdarzy spojrzeniem i szepnie z westchnieniem:
„Doczekać dni takich daj boże!"
On stary, o stary — lat jemu bez miary,
Nikt w wiosce ich zliczyć nie może.
Najstarsi bywało, rachują nie mało,
A każdy w rachubie się myli:
Na wiosnę i w lato, on zawsze przed chatą
Siadywał, jak siedzi w tej chwili.
Nie widzi, nie słyszy — a tylko wciąż w ciszy
Modlitwa z ust płynie mu błoga;
Czasem wśród pacierzy, w piersi się uderzy,
I westchnie gorąco do Boga,
A wtedy, o wtedy — nie czuje swej biedy
Starości, choroby i znoju:
W powłoce tej starej, promieni blask wiary,
Blask szczęścia, zachwytu, spokoju.
A przyszłość?.. wam młodzi, o przyszłość nie chodzi
Bo kres jej grobową jest deską;
Wam cienie cmentarne tak straszne, tak czarne,
Nie błyszczą jasnością niebieską.
Ten kraniec co widmem, straszy Was ohydnem,
Dla niego wieczności jest progiem:
Latami znękany, chorobą złamany,
Nie cierpi ów starzec — on z Bogiem!

Ludwik Niemojowski.

Kazań d. 6 Listopada 1873 r.

LALKI

SCENY PRZEDŚLUBNE

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Inter calicem et os multa cadunt.
Przysłowie.

(Dalszy ciąg.)

Do Gromów posiadłości baronównej von Wilmshofen było mil sześć opętanych,.. Na pół drogi wszakże stała przeprząż, tak że Koniuszy spodziewał się, iż Jaśnie Wielmożny hrabia stanie u celu około południa.

Obiad w Gromach jadano o trzeciej —był więc czas zaprezentować się, przebrać i zabawić do wieczora spełniając rozkazy stryja, który się spodziewał iż najdalej drugiego dnia Roman oświadczyć się potrafi.

Doktór Pęklewski obowiązał się zbudzić hrabiego o piątej, tak aby wypiwszy herbatę, na szóstą był gotów.

Cały ten program tak starannie obmyślany, o którego spełnienie punktualne miał się nieochybnie chory za przebudzeniem dopytywać—wykonano z nawyknieniem do posłuszeństwa wzorowem. Punkt o szóstej konie stały u małego ganku i hrabia Roman zawinięty w płaszcz i szal przez doktora własnoręcznie, siadł do kocza w którym mimo cisnących się myśli i niepokoju, po półgodzinnych marzeniach zadrzemał.

Kto inny byłby może więcej wziął do serca tak niezwyczajne położenie, tak dziwne zadanie, samą osobliwszą myśl podróży do nieznajomej całkiem panny, dla tak natarczywego oświadczenia się jej. Hr. Roman miał naturę ukołysaną mimo młodości, wiele żył, wiele probował, znał więcej świata powierzchownie niż się po nim spodziewać było można: powiedział sobie wreszcie, iż rzeczy były nieuniknione a małżeństwo, wedle pojęć tego świata do którego należał nie krępowało swobody człowieka, aby go aż nieszczęśliwym uczynić mogło. Wielki wielbiciel piękności plastycznej, hr. Roman we wdzięku kobiety nie dostrzegł jeszcze duszy, nie wzbudziło się w nim nigdy serce i —wszystkie panie dotąd dlań były równiuteńko uwielbienia godne.

To tłomaczy że mógł zadrzemać i spać do przeprzęgu, przebudzić się dla zapalenia cygara i zasnąć tak mocno powtórnie iż go dopiero pod samemi Gromami stuknięcie o próg mostku zbudziło szczęściem, bo inaczej byłby przed ganek Baronównej zajechał najniesprzyzwoiciej uśpiony —coby mu mogło było popsuć reputacją.

O Gromach które Baron von Wilmshofen nabył po zrujnowanej rodzinie jakiejś wraz z przyległościami znacznemi, które się przerywanym sznurem aż niemal ku Pruhowu ciągnęły, niewiele powiedzieć można. Baron choć baron ale biurokrata austryjacki, nie miał najmniejszego smaku, a raczej smakował tylko w tem co procentowało. Jednakże czuł nabywszy majętności, iż gdzieś jakąś rezydencję założyć był sobie powinien, a że w Gromach były stare muru kawałki, zbudował z nich sobie gotycki dom, z pomocą architekta który gotycyzmu uczył się podobno na padole galicyjskim. Fantastyczny to był produkt człowieka, który ani budownictwa nie znał, ani miał wyobrażenia tego co mu tworzyć kazano. Wieżyczki do których wnijść nie było można, okna w facjacie poprzecinane na pół piętrami, strzałkowate ozdoby i bizantyjskie słupy, mięszały się na stworzenie tej karykatury.

Rzeczywisty tajny radzca zupełnie był zadowolniony ze swojego pałacyku i urządził go sobie wewnątrz z niewielką czystością i staraniem... Nie mniej zaklęty ten gmach na mieszkanie był najniedogodniejszym w świecie. Otaczały go słupy, krata żelazna, ogród, w którym była fontanna *in spe* i *Lauby* drewniane i murowane...

Gdy Loli von Wilmshofen wychowanie się rozpoczęło, a ojciec jej umarł, hr. Filip któremu opieka nad jedynaczką powierzona była, przy pomocy pani Nieczujskiej, prosił jej ażeby w Gromach zamieszkała. Jej one winny były, że się w stanie dobrym doczekały dziedziczki.

Ciocia Nieczujska w szeregu postaci wchodzących do naszej powieści, niepospolite jako oryginalne zjawisko winna by zająć miejsce.

Nie była ona nigdy piękną, może nawet nigdy nie wydawała się młodą, ale za to starzejąc śladu przeżytych lat nie okazywała po sobie. Ciemnej płci, zawiędła, krzepka, zdrowa, rumiana, miała w ruchach, mowie i minie coś żołnierskiego. W istocie była też wdową po kapitanie artyleryi, z którym żyła tylko rok jeden.

Przywiązana do niego, nie pomyślała nawet nigdy o powtórnych ślubach, a Lolę ukochała jak własne dziecię, chciała też wychowywać ją w domu, lecz hrabia właśnie dla tego przywiązania pani Nieczujskiej i wpływu jaki na dziecię wywrzeć mogła, powierzyć go jej nie chciał. Oddano panienkę na najdroższą i doskonałą pensję klasztorną i powierzono osobliwej pieczy pół tuzina guwernantek, nauczycielek i nadzorczyń.

Nieczujska wiedziała co z tego wyniknie, stękała, płakała, ale się oprzeć nie mogła opiekunowi, a oprócz tego czuła się biedną na jego i Loli łasce, nie miała kąta była więc powolną, choć się oburzała i gniewała.

Położenie jej w ciągłej ją stawiło z charakterem sprzeczności. Stworzona do rozkazywania musiała być posłuszną. Całą pociechą jej było to, że się spodziewała po powrocie Loli do domu, zwolna ją po swojemu na żywe przerobić stworzenie.

Tak jak Chorąży syna, ona Lolkę nazywała Lalką i laleczką, a miała słuszność, gdyż śliczną ową panienkę inaczej było trudno nazywać.

Od dzieciństwa aż do tej chwili, Lola nigdy z prawdziwym światem i z rzeczywistem nie zetknęła się życiem, żyła w atmosferze sztucznej w zaczarowanem kole fikcyj i obrazów kosztownych. — Jak roślina w szklarni wyhodowana którą lada zimniejszy oddech powietrza mrozić może, Lola wychodziła w świat pieszczonym dziecięciem bezbronnem, któremu wszystko prawdziwe było obcem.“

Bogata baronówna kochana przez wszystkich, wychwalana, nawykła by jej dogadzało co ją otaczało, niepojmująca w świecie niepodobieństw i niemożliwości, stawała w obec wielkiej życia zagadki jak zaczarowana księżniczka, która po stuletnim śnie budzi się nie wiedząc gdzie się znajduje..

Krótki pobyt w Gromach z panią Nieczujską, która nie mogła zbyt obcesowo napadać na biedną istotę serdecznie ukochaną -- nie starczył na zmienienie tego stanu ducha i serca... Przyłożyła się też uboczna okoliczność do utrzymania Loli w śnie młodości. Jadąc na wieś uprosiła u opiekuna pozwolenie, przywiezienia z sobą na pierwsze dni samotności, dawnej przyjaciołki i koleżanki z pensyi, od roku już zamężnej, niejakiej Hermancji z Fiflów Grzegorskiej. Miał to być mentor dobrany najwłaściwiej na pierwsze w świat występy, ale nigdy nieszczęśliwiej trafić na nauczycielkę nie mogła baronówna. Pani Hermancia córka bogatego bankiera żona młodego spekulatora miljonowego, już pierwsze lata przebyła na pensyi w tych pewnych złudzeniach co Lola, a od roku nie widziała innego świata znowu oprócz salonów wiedeńskich i lwowskich i kunsztownej kultury.

Nie myślała dotąd o niczem oprócz strojów, występów, zabaw, podróży i trwonienia życia jak najprzyjemniejszego. Było to dla niej głównem zadaniem. Wydana za mąż wprost prawie z pensyi za młodego egomości którego nie znała prawie, położeniem nawet podobnem do teraźniejszego Baronównej, zbliżała się do niej.

Od dwóch dni oznajmiono już w Gromach o blizkim pretendenta przybyciu, oczekiwano go tu można sobie wyobrazić z jakim niepokojem i ciekawością Nieczujska ręce łamała po cichu—wołając ciągle:

— Do czego to podobne, do czego to podobne! — lecz oprzeć się przeznaczeniu nie mogła.

W saloniku ciemnym trochę, którego okna niby gotyckie, niezgrabnie kolorowemi szyby upstrzone na ogród wychodziły, tego samego poranku siedziały przy stoliku zastawionem śniadaniem dawno ostygłem i porzuconem, dwie nieszczęśliwe istoty, najśliczniejsze w świecie.

Baronówna Lola w białym szlafroczku tyftykowym ze szlakami kolorowemi, słusznego wzrostu, majestatycznej postaci, ciemnych oczów i włosów, była w całym rozkwicie niewieściej piękności. Wielkie, czarne zdziwione jakby źrenice patrzały na świat rozkazująco i despotycznie. Dziewczę wyraźnie czulo się stworzonem do panowania. Twarzyczka trochę długa ale pięknych rysów, miała w sobie coś cudzoziemskiego typu; nie pociągała ona wdziękiem tym wrodzonym który często mniej urocze twarze ponętnemi czyni; rozbudzała wszakże ciekawość jak zagadka, jak zamknięta księga w cudnej oprawie. W ruchach, mowie, postawie znać było, że baronówna wiedziała o swej wartości i cenić się umiała. Biło tam może i serce lecz zasznurowane i ukołysane.

Śliczne ręce dosyć krzepkich rozmiarów jak cała postać, oznajmywały wypielęgnowaniem iż pani ich dbała o to by cała była piękną. Nóżce też starała się nadać pewien kształt arystokratyczny na którym nieco jej zbywało. Do charakterystyki kobiecej należą te często zaniedbane piękne lub niepiękne łapki, które tyle co twarz mówią. Z rąk można odgadnąć kobietę, nawet jej losy i przeszłość a na to niepotrzeba chiromancyi tylko życia i doświadczenia. Ileż to rąk świadczy o doznanych nieszczęściach, o wyrzeczeniu się świata, o przedłużonej młodości, o stanie umysłu nawet, który nie przywiązywał do nich wartości! Są ręce naturalne, są sztuczne, są piękne a popsute są brzydkie a upięknione... a! są poczciwe nawet i czasem głupawe rączki. Ale nie mówmy już o tem. Lola miała duże a piękne, ręce niemieckie, umiejętnie podniesione do ideału. W tej chwili sparta na jednej z nich, z głową spuszczoną, zadumaną, mogła służyć za wzór do obrazu niewinnej melancholii Greuza.

Naprzeciw niej w fotelu z wielką gracją rozłożona Hermancia, zdawała się wtórować jej smutkom.

Dwie panie miały z sobą pewne podobieństwo układu i wielkie typów dwóch różnice.

Pani Grzegorska była może powabniejszą niż surowa Lola, nieco dzika, nieco zagadkowa. Twarzyczka jej zaokrąglona, kształty utoczone pulchniutkie, pełne, usta drobne a wydatne, nosek prawie zadarty. oczy wypełniające całą niemal powiekę źrenicami niebieskiemi, postać przedziwnych form czyniła ją czemś w żywych obrazach kwalifikującem się na Hebe klasyczną.. Tryskała z niej zalotność niewinna jeszcze, naiwna może, ale będąca w naturze całej istoty stworzonej by się podobała, by pociągała ku sobie i wiodła za sobą orszaki wielbicieli. Mniej było w niej dystynkcyi, ideału, niebieskich promieni, więcej ziemskich żywiołów i ziemskich popędów, co nie przeszkadzało jej być niebezpieczną, zachwycającą i gdyby chciała, niepokonaną. Rok życia znać już był piękną panią nieco rozbudził i rozpragnił, jeśli się tak wyrazić można,. Promieniała weselem, szczęściem pewnością swych jasnych przeznaczeń.

Siedziały tak dwie przyjaciołki naprzeciw siebie długo, wyczerpawszy znać rozmowę, gdy Lola odezwała się z ciężkiem westchnieniem.

— Powiadam ci, Hermo ty moja droga, nie ma dziwniejszego losu na świecie nad mój!.. Powtarzam za ciocią Nieczujską, do czego to podobne... to nie ma sensu...

— Oryginalne, nie przeczę, odparła bawiąc się sznurem czarnym swej rannej sukni Herma, ale jużem ci mówiła że i ja nie inaczej prawie poszłam za mąż... I muszę dodać, kiedyż my inaczej wychodzimy, my nieszczęśliwe niewolnice, kupowane na tym targu który się nazywa salonem? Czyż my kiedy znamy narzeczonego, widując go po godzinie na dzień w białych rękawiczkach, teatralnie występującego ze wszystkiemi swemi talentami i przymioty?

— To prawda! ale ja! ja spodziewałam się, ja marzyłam... jam sobie zawsze mówiła że nie oddam ręki póki serca nie oddam...a tu...

— O! serce! rozśmiała się Herma... Między nami dwiema, wiem że nas nikt nie słucha, myślisz że ja mego Seweryna kocham? Miły mi jest, przywykłam do niego, nie mam wstrętu, ale kochać!! Żebyś go zobaczyła, wcale nawet przyzwoicie wygląda, pół godziny mówi rzeczy zajmujące ale kochajże się w człowieku, który cały dzień gorączkuje się nie dla ciebie tylko dla pieniędzy, wraca do domu z pełną głową kursów i bilansów i przez sen mówi o podwyżce i spadku papierów...

— Ale bo ciebie wydano za spekulanta? przerwała Lola...

— Tak, a ty możesz pójść za sportewena, za myśliwca, za gospodarza, za niewiem kogo i będziesz miała ze starszą jego namiętnością tak samo do walczenia jak ja... Takie to już teraz nasze życie...

Westchnęła i rozśmiała się zaraz...

— Ale! co tam... na miłości idealne już wcale rachować nie można. Od czasu jak kucharki poprzebierały się za Heloizy, nie ma już Abelardów... Nasze zadanie nie dać się zgnieść, opanować, zostać paniami, no i dobrze się bawić... Życie może być takie zabawne.

— A! pleciesz doprawdy nic do rzeczy.., nie masz litości nademną, poczęła Lola... a tu losy moje rozstrzygać się mają.

Załamała ręce.

— Ja muszę iść za tego hrabiego! muszę, co za wyraz okropny! Kobieta która musi... nie może chcieć... i ja nie chcę .. Nie chcę a muszę! powiedz to sobie.

— Mówimy to sobie drugi dzień... przerwała Herma, ale czegoż musisz?

— Hrabia, mój opiekun zaręcza, przysięga że to była wyraźna wola ojca mojego. On tak był dobrym dla mnie, a dziś umierając zaklina mnie abym spełniła wolę ojca i jego, że to jest jedyny środek do szczęścia — a dla niego to co mu śmierć osłodzić może...Słowem... wszystko to razem .. stawia mnie w konieczności, w okropnej konieczności.

— Śmiej że się z tej konieczności okropnej! Ty bo masz jakieś usposobienie do pojmowania tragicznie życia... Mówią że postawą przypominasz Rachelę... to też i na karę masz miłujące role tragiczne. Co za okropna rzecz pójść za młodego, przystojnego, dobrze wychowanego hrabiego, który jest w dodatku bogaty..,

— Ale ja go nie znam! wykrzyknęła Lola z rozpaczą.

— To go poznasz!

— A jeźli mi się nie podoba?

— No — to go będziesz znosić jak ja mojego ..

— A jeśli podoba mi się inny...

— Nie! ty bo koniecznie tragedję sobie komponować musisz... zawołała Herma. . Nie będziesz miała czasu mysleć o tem... świat cię porwie! Będziemy się bawiły. . bawiły! szalały...

Lola potrząsła główką...

— Tylko co go nie widać — dodała po namyśle. Wystaw sobie moje położenie?.. Jak mam wystąpić? jak się pokazać—co mówić!

Pochwyciła się za głowę.

— Wiesz co, to prawda, przerwała nagle Herma— najważniejszej rzeczyśmy nie obmyśliły... twojej toalety!.. Sama nawet nie wiem co ci radzić...

— Chcę wziąść suknię czarną.— odparła z wielką serją Lola — wystąpię przed nim z całą powagą, na jaką się zdobyć potrafię... Żadnych błyskotek, pstrociny żadnej, strój prawie żałobny... suknia czarna wiesz, widziałaś ją, ta która tak ślicznie leży. Samaś mi mówiła że mi w niej bardzo do twarzy...

— Ale coś przecie dla ożywienia jej dodać trzeba...

— Nic, nic— białe mankietki i prosty śnieżnej białości kołnierzyk.

— Masz może broszę jaką? zapytała Herma.

— Wszystkie szkaradne! odpowiedziała Lola z oburzeniem... Jedna mozajkowa wenecka... druga malachitowa spospolitowana... trzecia złota stara i bez smaku.

— A brylantowa?

— Za nic brylantów nie włożę. Jedno „cobym mogła użyć to coś - złotego w rodzaju starożytnym, prostego a massyw... widziałam takie przywiezione z Rzymu ale sama nic podobnego nie mam.

— Przecie brosza jest konieczną...

— Mówię ci żadnej ludzkiej nie mam...

Westchnęła nieszczęśliwa.

— We włosy czarne choć różę! dodała Herma.

— A! niech Bóg broni. Jak ty możesz nawet o takiej herezyi pomyśleć—Róża to godło radości, szczęścia... ja nie chcę mu się wyświeżyć, - ja go chcę przerazić...

Herma w pulchne rączki klasnęła.

— A! masz słuszność: tyś sto razy rozumniejsza odemnie, niech drży przed tym majestatem zawczasu, niech się uczy posłuszeństwa i grozy.. Oj jaka ty jesteś przedziwna—dodała po chwilce, nieoceniona..jakaś ty nieskończenie dobra żeś mi dozwoliła być świadkiem tej sceny. Wiesz co włosy puść w puklach na ramiona zawołała jakby uderzona myślą wielką; masz je przecudne i z tem ci niezmiernie do twarzy...

— Proszę cię, toby wyraźnie znaczyło że myślę mu się podobać! A nie to być nie może... Włosy gładko przyczesane i zwinięte w warkocz bez pretensji... Ja chcę być prawie brzydką...

— Nie rozumiem— odparła Herma, to nie jest naturalne, zawsze pragniesz być piękną.

— Mówiłam ci, chcę być straszną...

— To nie przeszkadza być piękną... Herma rzuciła się nie domawiając tych słów na szyję Loli i zaczęła ją ściskać śmiejąc się znowu .

— Gdybym ja była w twojem położeniu, odezwała się, ja mam naturę inną, jabym wystąpiła przed niego w całym blasku piękności, starałabym się go oczarować, rozkochać...przywieść do szału.. Wierz mi to daleko zabawniejsze.... A, żebyś ty, chcąc nawet być straszną przestraszyć kogo potrafiła, temu nie wierzę, nadto jesteś piękną... wiesz, tak piękną, że ja z moją twarzyczką subretki, czasem ci piekielnie tego oblicza Junony zazdroszczę. We mnie, ja to wiem, ludzie się kochają do szału przez dni kilka... a w tobie można się zakochać na wieki...

Jeszcze tak paplały, gdy wpadła ciocia Nieczujska. Przy dwóch tych rozkwitłych bujnie różach, kapitanowa wydawała się nakształt dojrzałego kasztana, ze swą cerą brunatną, maleńkiemi oczkami czarnemi, i żołnierską postawą. Miała nawet zwyczaj brać się pod boki, a nosiła przytem strój tak zaniedbany i niezręcznie włożony, jak gdyby chciała umyślnie wydawać się dziwacznie...

— Moje panie! na miłość Bożą, poczęła od progu... godzina jedenasta! wy do tej pory w szlafroczkach, śniadanie niesprzątnięte... czas się przecie poubierać. Hrabiego tylko co niewidać.. Jeśli go nie było wczoraj to dziś jak najpewniej będzie, nie ma najmniejszej wątpliwości... I to na obiad.., ręczę... Obiad nawet zadysponowałam stosownie.

— Otóż masz! przerwała Lola, ręczę że Ciocia występuje, a ja proszę i błagam żeby tego nie było...

— Co to jest, występuję? spytała Nieczujska wcale nie zmięszana... kazałam krem zrobić, czyż to dla nich występ? Przecież trzeba pokazać że my tu żyjemy też po ludzku... a mam gościa oprócz tego jegomościa. Indyk na pieczyste... Nie ma żadnych osobliwości! Ale na Boga ubierać się idźcie!

— Dla czego? dla czego ja się mam śpieszyć? przerwała Lola, żebym zaraz wybiegła naprzeciw niego. Po co? przecie poczekać może. Właśnie pokazać tego nie chcę, iż był oczekiwany i że się tem niepokoiłam..

— A ja go będę bawić w salonie? ja? spytała Nieczujska.

— Ale nikt — odparła Lola, niech się sobie sam bawi lub nudzi to mi wszystko jedno.

— Zlituj się a toć przyszły mąż! zawołała Nieczujska, bo to rzecz nieuchronna, po cóż go dręczyć, po co go zrażać?...

Lola ramionami ruszyła.

— Już to, moja Lolciu, poczęła Ciocia biorąc się w boki, wy tu dwie z Hermą musiałyście dobrze się naradzić i ślicznych rzeczy nakomponować!

Herma, która lubiła śmiać się ze wszystkiego z czego płakać nie mogła, roześmiała się głośno...

— Słowo daję cioci że dawałam rady jak najrozumniejsze, jak najstateczniejsze, ale Lola... Lola się uwzięła grać z nim w strachy.

— Jak to? zapytała Nieczujska.

— Chce koniecznie tak wystąpić, ażeby go nastraszyła.

I ciocia zaczęła się śmiać.

— A już to próżno Loli chcieć co narzucić, zrobi co jej do głowy przyjdzie,.. lecz żeby miał się zląknąć choćby marsa nastawiła to wątpię... Uważajcie jak lepiej, ja się do niczego mięszać nie chcę ażeby potem za nic nie odpowiadać, radziłabym tylko zawczasu o ubraniu pomyśleć, bo to będzie niemała sprawa.

(d. c. n.)

WŚRÓD
WIECZNYCH LODÓW

NAPISAŁ

SYGURD WIŚNIOWSKI.

(Dokończenie).

A przecież mógłbym tam stać wiek cały gdyby nie głos Luenera naglący do pośpiechu, zanim wiatr się wzmocni. Wieniec hornów poczynający się od Finsteraarhornu, leżącego na lewo i obracającego ku nam przystępną swą stronę otacza nas półkolem. Wspaniały Aletschorn tuż przed nami z mgły się dobywa, Ewigschneefeld, gleczer Aletschy jak białe i zielonawe morze rozlegają się pod stopami.

Na nich sterczą wyspy zębatego Grünhornu, Faulberga mieszczącego pieczarę służącą na nocleg turystom przybywającym od Aletsch. Lecz nie nadzieja ujrzenia sąsiednich gór sprowadziła nas na Jungfraukamm, ale wiadomość iż ztąd można ujrzyć Montblanc i łańcuch gór pennińskich, najpotężniejszą część Alp co do wyniosłych szczytów i licznych lodowców.

Jakby drugi szereg, ustawiony za pierwszym bliższym nas, pokazują się olbrzymy południa zdumionemu oku. Po raz pierwszy w życiu oglądam Montblanc i mogę osądzić o ile prześciga wszystkie okoliczne wierzchołki. Ona jedna nie ma tu rywala.

Mont-Roza czy w mgle znikła, czy trudno ją rozpoznać wśród licznych rówienników, lecz pustelnik Mont Cervin (Metterhorn), duma ponuro jakby znów pragnął pozbawić życia ludzi znieważających szczyt jego.

Słup to samotny, stromy, nie mający rówienników dokoła. Jak Pik Teneryfy wznosi się po nad Atlantyk bez współzawodnika, tak on prześcigając sąsiadów swych o kilkatysięcy stóp gardzi towarzystwem. Patrząc nań przez lunetę przyrównywam go do luxorskiego obelisku w Paryżu, kilkaset razy powiększonego. W jaki sposób dostają się ludzie na ten potwór?

— A przecież w trzy dni po opisanej śmierci Anglików, hardzi włoscy młodzieńcy weszli nań po dwutygodniowych usiłowaniach i na granicy Włoch i Szwajcarji, gdyż wierzchołek ten służy za słup graniczny, zatknęli na nim chorągiew trójkolorową.

Oddech tak mój szybki i gwałtowny, że skronie nam tętnią od napływu krwi choć tylko dziesięć minut stoimy na górze. Lecz 12,900 stóp nad powierzchnią morza wcale nie zgęszcza powietrza. Szkot znający się na podobnych rzeczach, liczy puls mój i powiada iż bije 103 uderzeń na minutę.

Ujrzawszy co można, opuszczamy górę o godzinie dwunastej. Głód nas trapi silny, pragnienie niemniej nas pali. Przewodnicy pijąc sami skromnie, radzą nam nie szczędzić wina, by nabrać sił i odwagi do spuszczenia się po owej strasznej ścianie lodowej.

Po obiedzie, idziemy w dół śmiało. Postępując wolno lecz bez wypadku, schodzimy wreszcie na pole śniegów. Mosty śniegowe na przepaściach dobre jeszcze, bez szwanku dostajemy się na bezpieczną stronę.

Wtedy dopiero powiada nam Lauener dla czego nas naglił do powrotu. Wiatr wzmaga się coraz silniej a śnieg zmiękczony poczyna się zsuwać z gór w kształcie lawin. Największe niebezpieczeństwo wdzierającym się na stromą piramidę Jungfrau grozi, w dnie mgliste i ciepłe, od tychże lawin. Chociaż żadnego turysty nie porwała do dziś dnia lawina, lecz mijają czasami dość blizko podróżnych i jeszcze kiedyś pochłoną kilka ofiar.

Za wzmocnieniem się wiatru i mgła się wzmaga; lecz doszedłszy chatki pod Mnichem, i poleciwszy Gertschowi by znów zrobił trochę zupy, spędzamy wieczór na pogawędach. Po wieczerzy, warzymy kociołek ponczu i rozweselony Lauener opowiada o przygodach długiego żywota spędzonego wśród niebezpieczeństw. Huk lawin i lodów, częsty tej nocy, przerywa jego słowa czasami, a wszyscy pięciu słuchamy chwil kilka w milczeniu głosu, dobrze nam znanego grzmotów lodowych, który im częściej go słyszysz, tem większe wrażenie wywiera.

Wtedy, gdy przyroda przemawia, czujemy jak mali jesteśmy i wątli, dziwimy się jak my drobne robaki, tylko za pomocą topora i powroza zaglądamy tak śmiało w oczy straszydłom alpejskim. Jeden, jak ja postanawia wtedy pożegnać je na zawsze i nie narażać się na dalsze trudy i bezsenne noce; drugi młodszy, któremu wszystkie przyjemności życia nowością, jeszcze, w którego piersiach wre zapał młodzieńczy, układa z młodym Almerem plany nowych kampanji na Eiger, Mnicha i góry Wallis.

Syt wycieczek, nie mogę i nie chcę mu towarzyszyć. Jedna tylko nęci mię góra—okropny Matterhorn, ludobójczy ostrosłup stojący tak samotnie. Dałbym wiele za to by należyć do liczby kilku zuchwałych, którzy odważają się pójść nań corocznie

lecz zbyt to kosztowna zabawka, zbyt wielu wymaga przewodników, by lada kto mógł sobie na nią pozwolić. Może kiedyś... lecz po cóż marzyć!

Nazajutrz, gdy wiatr ustał, schodzimy po dobrze znanej już drodze do chaty pasterza. Tu dowiadujemy się, iż stary Almer, po zwiedzeniu Vierscherhornu, wrócił jeszcze wczoraj do Grindelwaldu.

Zaczem pożegnam tę chatę po raz ostatni, jeszcze raz pochwalę wzorową jej czystość. Jak najskromniejsza siedziba Szwajcarska tak i ta z niebielonych głazów zbudowana Sennhütte schludną jest, choć ciemna dla braku okien. Łóżko górala, bielizna jego wyprana w sąsiednim strumyku, kotły i garnki na nabiał przykładnie czyste. Wprawdzie czasami wsunie tu głowę swawolna koza, a nawet gdy deszcz pada i cała chce skryć się przed nawałnicą, lecz prętem leżącym na stole karze ją za to właściciel, tylko myszy hulają bezkarnie, bo kot nie wyżyłby na tej wysokości wedle zdania górali.

Dla jednego z capów tej trzody okazywał Lauener wielką przyjaźń, dając mu pół bułki chleba, gdy przyszedł do drzwi izby.

Domyślając się, iż dawni znajomi się spotkali, zapytałem przewodnika, dla czego lubił tę kozę więcej nad inne.

— Wyobraź pan sobie, odrzekł góral, iż hultaj ten wszedł tej wiosny do jednego z pysznych hotelów na Wengeralp, gdzie olbrzymie zwierciadła okrywają ściany od podłogi do sufitu i widząc swój obraz w szkle odbity, natarł nań odważnie. Dźwięk szkła stłuczonego ściągnął nas pijących wino w przyległym pokoju do sali, i widok capa walczącego z widziadłem bardzo nas ubawił. Nawet właściciel domu uśmiał się szczerze, pomimo straty zwierciadła. Nazajutrz wyprawiono psotnika na wygnanie w góry, lecz ile razy go spotkam karmię go chlebem za okazaną waleczność.

Od chaty do hotelów zmoczył nas deszcz bezlitośny, widocznie zawsze deszcz pada na lodowem morzu. Przemokli do nitki, wchodzimy wreszcie w ulice mieściny, w tryumfie maszerujemy przez nią ku hotelom. Panowie i panie wychodzą na ganki i balkony, by ujrzeć wracających z tak długiej wyprawy, oglądać nasze topory i powrozy zwinięte w obręcz i niesione na plecach. Do dziś jeszcze, pomimo tylu wypraw nie zbyt to częsty wypadek by kto wdarł się na Jungfrau od strony Grindelwaldu.

W moim hotelu piszemy przewodnikom świadectwa i załatwiamy z niemi interesa pieniężne. Kilka rodzin amerykańskich i francuzkich, bawiących tam dla przyjemnego klimatu otacza nas i pyta o przygody. Jeden z Amerykanów doktór Fischer, z Czech rodem, zaprasza mnie bym go odwiedził gdyby mi kiedy wypadało wstąpić do St. Louis w Zjednoczonych Stanach, i powtórzył rodzinie jego co mu odowiedziałem przed chwilą, że może mnie prędzej ujrzy, jak się spodziewa.

Niechcąc być trapionym przez ciekawych, spakowałem tegoż dnia mój mantelzak, i pomimo deszczu zabieram się do Interlaken w towarzystwie młodego studenta angielskiego, rodem z Melbourne w Australii.

Wałęsając się tędy owędy, zwiedzamy Staubbach, kaskadę spadającą ze skały tysiąc stóp wysokiej i rozwiewaną tak wiatrem, iż nigdy ziemi nie dosięże lecz zmienia się na wodną kurzawę.

Co do Staubbach to nie powiem by mnie równie zachwycił jak ogół turystów. Nie posiada on głównej zalety szukanej przezemnie w zjawiskach przyrody, wspaniałości i pewnej grozy. Ci którzy li uroczych szukają widoków zawsze odejdą ztąd zadowolnieni, gdyż Kaskada ta posiada pewien wdzięk łagodny. Handeck prześciga inne Kaskady Oberlandu wspaniałością, Giessbach malowniczością, Staubbach poetycznością.

Odmalować go wiernie żaden nie zdoła pędzel, gdyż kształt tumanów, rosy i mgły ciągle się zmienia wedle siły i kierunku wiatru, i światło padające na nie łamie się i plącze co chwila inaczej, tak iż cały wodospad zmienia się bezustannie jak figury kalejdoskopu. Giessbach przeciwnie uroczy zawsze lecz nie podlegający tym zmianom, służył malarzom od wieków za przedmiot do krajobrazów.

Jeżeli chcesz Czytelniku poznać cały wdzięk Staubbachu stań pod nim, pozwól rosie by zwilżyła twe czoło, spojrzyj w górę ku słupowi wody wyrywającemu się z korony borów w szczytu skały. Oko twe ujrzy jak w skutek gwałtowności spadu i tarcia powietrza, słup rozpryska się w nici i wstęgi wody, te w krople rosy, bańki, piany, mgłę wreszcie, ozdobioną aureolę tęczową i pędzoną w tę i ową stronę siłą wiatru.

Mgła zasłania skałę jak muszlin osłaniający lice dziewicy, przyćmiewając jej urodę lecz jej nie kryjąc. Jeżeli spojrzysz przez tuman mgły ku Jungfrau błyszczącą w dali, góra ta wygląda jakby oświetlona światłem Księżyca. Już nie odbija się tam dziwne światło jakby sypiące iskry, lecz łagodnie błyszczy.

Słynny niemiecki poeta Haller, najlepiej opisał tę dziwną Kaskadę w kilku rymach których przekład podaję:

Tu się skał stromych gładkie pną ku niebu mury,
Leśny potok z ich szczytu ku dolinie skoczył,
Opuścił zieleń borów i szarą mgłę chmury,
I w powietrzu łuk hardy ku ziemi zatoczył.
Srebrny słup pędem lotu darty i dzielony.
Rzędem nici zwisł między ziemią i niebiosy,
Wygląda jak mgły tuman tęczą okraszony;
Wreszcie dopadł doliny kropelkami rosy.
Tu strumień ów ogląda źrenica zdziwiona,
Co w obłoku się rodzi i w obłoku kona.

Nasyciwszy się widokiem wodospadu wyruszamy ku Interlaken, gawędząc wesoło o rodzinnych miejscach mego towarzysza, znanych mi lepiej jak jemu wychowanemu w Europie.

Rozstajemy się na ulicy w Irterlaken, przez którą mknę prędko gdyż stan mej odzieży, mantelzak na plecach i zabłocone buty, wcale nie odpowiadają wykwintnej mieścinie, w której panowie i panie zjawiają się co dnia w nowych strojach na przechadzce.

Zbytek nieopisany panujący w Interlaken wypędza z niego bardzo szybko wszystkich prawdziwych turystów alpejskich. A przecież, gdyby mniej wybredne towarzystwo przechadzało się po tak zwanym Höheweg, długo tam mógłbym się zatrzymać i obróciwszy twarz na południe poić się widokiem Jungfrau. Ztąd przedstawia się ona najpochlebniej i najsmuklej; ze strony z której wchodzimy na nią, ściany jej wyglądają jak zbiorowisko ostrych grzbietów poprzerywanych parowami. Teraz i od tej strony umieją wchodzić na nią, lecz kilka lat temu uważanoby za warjata człowieka, wybierającego się w podobną podróż.

Obejrzawszy się do koła, widzę iż eleganccy panowie i panie na Höheweg nie są zachwyceni ubiorem turysty, który przez parę nocy spał nie zdejmując bluzy i butów na sianie. Umykam więc ku dworcowi kolei, w tem dolatuje mnie wołanie z powozu mijającego się ze mną.

W powozie poznaję pana M... znajomego z Wiednia. Góry z górami się nie schodzą, lecz ludzie zawsze spotkać się mogą. Przed trzynastu laty obozowaliśmy razem w Neapolu, później ujrzeliśmy się na wystawie wiedeńskiej na chwilę, dziś ubrany wedle ostatniej mody spotyka mnie z laską alpejską w ręku w Interlaken. Nie dbając iż garderoba moja cokolwiek dziwna, jedzie ze mną na kolej i w podróży do Bernu wypytuje gdzie byłem i co widziałem.

Ja nawzajem pytam jak mu się podobało Interlaken, gdzie bawił dni kilka:

— Jestto zbiorowisko wszystkich dorobkowiczów giełdowców świata, odpowiada; większa część bawi tutaj nie po to by na Alpy patrzeć, lecz by przesadzać się w strojach. Ani Champs Elyseés, ani Hydepark nie poszczycą się tylu elegentami jak ta mieścina.

Przepływamy przez jezioro Thum parowcem, obok owego cudownego pałacu który pono jeszcze król Hunnów Atylla zbudował: dalej zaś koleją, przybywamy do stolicy Szwajcarji, znanej już z tylu opisów. Niedźwiedzie zdobiące każdy kąt miasta, arkady dziwnego kształtu okrywające chodniki i ciekawa architektura domów, bawią nas gdy czekamy na pociąg. Pan M. . jedzie do Genewy i do Vichy; ja wracam do mego obecnego domu w małej szwajcarskiej mieścinie, tu więc znów rozstajemy się na długo

Oczekując na pociąg, stoję przed pysznym gmachem federalnym, siedzibą tutejszego rządu, i zwracam po raz ostatni oczy ku Alpom, aby ujrzeć śnieżne ich szczyty. W zbitym ich szeregu wyróżniam dawnych znajomych. Jungfrau zawsze wspaniała i piękna, i ztąd zaćmiewa swe rówienniczki.

Patrząc na nią przypominam sobie wszystkie wypadki dni przeszłych. Lodowce, skały i białe ściany na myśl przychodzą, wyobraźnia tworzy coraz żywsze obrazy z panoramy Sidelhornu i Wetterhornu. Szczyty Montblanc i Mont-Cervin, wyrastające po nad chmury, znów stoją przed oczami. Rzeka lodowa Aary i morze Ewigschneefeld niby u stóp moich. Zwangl, Almer, Lauener, zachęcają dobrze znanym głosem bym śmiało stąpał po śniegu pokrywającym bezdenne szczeliny. Marzę o nich, o niemieckim doktorze, o śmiałym młodzieńcu szkockim, mimowoli wzdycham, zazdroszcząc mu wycieczki, drugiem westchnieniem żegnam na zawsze całe grono znane tak krótko, poznane tak dobrze.

— O czem myślisz, pyta M...iż tak wzdychasz? Lepiej żebyś mi towarzyszył do niedźwiedziej jamy, gdzie miasto Bern utrzymuje swym kosztem kilku swych imienników.

Idziemy do niedźwiedziej jamy. Tam cała rodzina Marcinów, podziwiana przez liczne grono gawiedzi, gdyż była to niedziela, wywraca koziołki. Pomiędzy widzami radość wielka, pani Marcinowa powiła bowiem wczoraj syna, wypadek zaś podobny wielu zajmuje Berneńczyków. Słysząc ich rozmawiających o swych niedźwiedziach i cieszących się z urodzin niedźwiedziątka jak inny gród z przybycia na świat Królewicza, dowodzę panu M... iż Berneńczycy już niedźwiedzi nie tylko jako godło miasta, lecz jako rodzinę panującą poważają. Marcin i Marcinowa starczą im za dwór, powiastki o ukochanych zwierzętach roznoszą również ochoczo jak londyńczycy plotki pałacowe.

Dynastja niedźwiedzia w Bernie podobno już kilka wieków panuje; od kiedy miasto miastem zawsze jama ta pełna zwierząt i mieszkańcy znoszą do niej daniny z łakoci. Ileż to uwag satyrycznych nie wyrodziłaby myśl złośliwego filozofa, stojącego nad jamą niedźwiedzią tak czczoną przez lud miejski w Bernie.

Lecz czas na kolej... Ostatnim rzutem oka żegnam dalekie Alpy Oberlandu i jadę do domu.

W Rapperswyll zastaję ruch niezwykły. Ludzie chodzą z muzyką i chorągwiami, radzą, sejmikują. Nowe prawo religijne zajmuje umysły Szwajcarów, i chociaż zapał a nawet rozjątrzenie stronnictw wielkie, cały ruch odbywa się bez innego hałasu prócz dźwięku trąb i mów ludzkich. Szczęśliwi ludzie!

U podnóża Alp, opisawszy ci Czytelniku o ile słaba pozwala pamięć i pióro niewprawne, wycieczkę mą na ich szczyty, żegnam cię znów na czas jakiś. Niepoprawny włóczęga, raz pisząc na morzu, drugi raz obok lodowców, zawsze mając w sercu pamięć miejsc rodzinnych, wybieram się na nowe podróże. Gdzie

huczy Niagara, czerwony Indjanin wydaje okrzyk wojenny i lokomotywa świszcze po niezaludnionym stepie Ameryki, wytchnę na chwilę i chwycę za pióro by opisać co tam ujrzę. Jeżeli ci starczy cierpliwości czytać co ztamtąd przyszlę, nieraz jeszcze (gdy Bóg życia dozwoli), usłyszysz jak wyglądają odległe kraje. Tymczasem bywaj z Bogiem! a jeżeli masz jeszcze cierpliwość to przeczytaj:

POŻEGNANIE.

Stojąc w samych Alp podnóża,
Gdy bór ciemny skroń ocienia,
Wonią poi górska róża,
Ucho głaszcze szmer strumienia;
Nad błękitnem tem jeziorem,
W którym toń kaskada syci,
A wód lazur z czarnym borem,
Wiąże pasmem srebrnych nici. ..
Łzą Was szczerą żegnać muszę
Nim w daleką drogę ruszę.

* * *

Nad jeziorem, nad borami,
Gdzie się łąki w zieleń stroją,
Tkane kwiatów kobiercami
Wprost z obłoków rosą poją;
Nad zielenią, nad obłokiem,
Gdzie się grzebień skały dźwiga,
Gdzie się z strzelcem jasnookim,
Wiatronoga gemza ściga,
Gdzie ich śladem wicher goni;
Szliśmy razem dłoń przy dłoni.
Z tym myśliwym i z tą łanią,
Nieraz biegliśmy w zawody,
Nad ziejącą tuż otchłanią,
Co glasierów więzi lody:
Aż odbiegłszy gwarną ziemię,
Rzucim wzrokiem ku nizinie,
Gdzie helweckie orze plemię,
Gdzie jezioro gładkie płynie,
Złotem żniwem płoną łany,
I lud nie wie co to pany.

* * *

Nad obłokiem i nad skałą,
Kędy Jungfrau srebrnowłosa,
Igłą smukłą i zuchwałą,
Lazurowe tnie niebiosa,
Gdzie już tylko orzeł chyży,
Mógłby od nas wzbić się wyżej,
Piersi eter tu napawa,
Ucho trwoży groźna wrzawa.
Góry sypią tu kaskady,
Srebrnych lawin, hucząc prują
Szarą chmurę głazów grady,
Chmury grzmotem je przyjmują.
W dole się żywioły zwarły,
Głośna walka tam zniszczenia,
Na filarach Alp się wsparły,
W górze ciche nieb sklepienia,
Ziemskie piekło pod nogami,
Raj niebieski nad głowami.

* * *

Patrząc w górę wieszcze oko
Z zachwyceniem by dostrzegło,
Jak nad nami—tam —wysoko
Sto się rot anielskich zbiegło.
Złote zbroje i przyłbice
Lśnią tam, od nich góra pała
Długo, choć już słońca lice
Oku dolin noc schowała.
Ucha duszy ton doleci,
Chór proroczy niebios dzieci.

* * *

Wielkie dziwy chór ten pieje,
Nad helwecką tą dziedziną,
Wielkie wróżby i nadzieje
Z ust anielskich ku nam płyną.
Pokój ludziom dobrej woli,
Poniżenie synom buty,
Pocieszenie dla niedoli,
Z tej anielskiej czytam nuty.
Niech jej pamięć koi duszę
Gdy w daleką drogę ruszę.

Korespondencja z Wiednia

Jeszcze dobrze przed wystawą rozmaite mądre głowy, siliły się nad wymyśleniem recepty na zaradzenie panującej we Wiedniu drożyznie.

W łonie rady miejskiej i po za obrębem tejże pozawięzywały się komisye, w których kwestyę drożyzny wielkich miast nicowano na wszystkie strony, rozprawiano szeroko i długo, podawano rozmaite projekta. Wszystko to jednak skończyło się na niczem, pokazało się bowiem, że wszystkie recepty były niepraktyczne. Przekazując więc rozwiązanie kwestyi drożyzny wielkich miast późniejszym pokoleniom razem z kwadratnią koła, orzeczono tylko, że po wystawie, gdy stosunki normalne powrócą, drożyzna zmniejszy się sama przez się. Doszedłszy do tego postulatu, nad wynalezieniem którego warto było zaiste łamać głowę, porozwięzywały się komisye i usnęły na łatwo zdobytych wawrzynach, na których śpią aż dotąd. Tymczasem stosunki normalne, które zjazd obcych na wystawę zakłócił, oddawna wróciły a drożyzna przecież się nie zmniejszyła.

Nadto gwałtowna rewolucya giełdowa okropnie uczuć się daje nie tylko w Wiedniu lecz w całej monarchji, jeżeli nie bezpośrednio to przynajmniej pośrednio a zawsze dotkliwie.

We wszystkich stosunkach codziennego życia, we wszystkich warstwach i gałęziach społeczeństwa wywołała ona potężne wstrząśnienia, których skutki nie prędko zapewne przestaną dolegać. Ztąd drożyzna dzisiejsza każdemu podwójnie uczuć się daje, a nie ma wcale nadziei, aby uchwalona przez radę państwa pożyczka na zakładanie kas zaliczkowych zaradziła złemu, bo właściwie przeznaczona jest tylko na ułatwienie i ożywienie na nowo gry giełdowej, tej najniebezpieczniejszej ze wszystkich chorób nowoczesnego społeczeństwa. Że zaś złe rzadko samo przychodzi, lecz zwykle cały szereg innych wlecze za sobą, i tu więc nie inaczej się stało. Wystawa powszechna naraziła nie tylko rząd lecz i gminę miasta na olbrzymie wydatki. Jeszcze przed wystawą pozaciągało miasto długi na rozmaite ulepszenia, na wzniesienie wielu budowli, na rozszerzenie niektórych ulic, na uregulowanie komunikacyi.

Teraz więc, ażeby ten dług zapłacić, zaciąga nowy, dwa razy większy (jak to zwykle praktykuje się w świecie) a w skutek tego podwyższa podatek gminny. Dla ludności i tak już upadającej pod brzemieniem podatków rządowych nie małą jest to uciążliwością, zwłaszcza przy drożyznie, przy stagnacyi w handlu i braku zarobku, co wszystko w jeden łańcuch splecione, tworzy nie łatwy do odmotania circulus vitiosus. Dodajmy do tego niezadowolenie w skutek zawodów doznanych podczas wystawy, na której bujna fantazya od roku wznosiła zamki na lodzie, a będziemy mieli wyobrażenie o teraźniejszem kwaśnem usposobieniu umysłów w Wiedniu, gdzie do niedawna żyło się tak wesoło.

Nie dziw więc że w takim stanie rzeczy odbyt tegoroczny na podarki świąteczne i noworoczne, na których kupcy tutejsi zarabiają czasami niemal tyle co w ciągu całego roku, był nader mały. Powstało tu w ostatnim czasie mnóstwo handlów z drobiazgami, tak urządzonych, że wszystkie w nich będące towary są na jedną cenę, zazwyczaj 27 centów, to jest nieco więcej niż złoty polski. Otóż do tych tylko sklepów był dość znaczny napływ kupujących; co jest najoczywistszym znakiem biedy. Natomiast handle bławatne, jubilerskie, towarów modnych itp które w innych latach zarabiały krocie, tego roku wspomnieniami tylko pocieszać się muszą. W zabawkach dziecięcych, tym najważniejszym pod koniec roku artykule handlowym, nie dostrzegliśmy szczególnego postępu, którego po wystawie należało się spodziewać. Jak zwykle sprzedano najwięcej broni, bo rycerskie potomstwo bohaterów z pod Austerlitzu jeszcze w kolebce wyciąga ręce po pałasz. Dla mniejszych dzieci były teatrzyki, cyrki, jasełka, żołnierze, kościoły, pałace: dla nieco starszych zabawki fröblowskie łączące zabawę z nauką historyi, jeografii itp. dla jeszcze starszych modele rozmaitych maszyn, nawet parowych, dających się bez niebezpieczeństwa zastosować i używać, walcownie, fontanny itp.

Z książek licznych wydanych na Gwiazdkę, Hugona Elma „Rozrywka i praca" (Spiel und Arbeit)z 600 rycinami niemałego doznała powodzenia: są tu wzory robót domowych ręcznych, mające służyć do przyzwyczajania dzieci do pracy, budzić w nich poczucie dobrego smaku, symetryi itp. W tym kierunku nie brak już i u nas początków, ale i tu zdaniem naszem należałoby jak największą zachować ostrożność, dla powstrzymania szerzącej się po całym świecie niemczyzny, która i do nas, pomimo zamkniętych dość szczelnie granic, wciska się niepojętym, sposobem i niemczy nawet tych, którzy nie umieją po niemiecku. Mówimy tu oczywiście o wpływie jej na charakter narodowy, na który zdaniem naszem należałoby zwracać szczególniejszą uwagę w wychowaniu, bo mniemamy że nie dość wychować tylko ludzi, gdy chodzić nam powinno o wykształcenie członków społeczności, pod tylu a tylu względami odmienne a nawet wyjątkowe stanowisko w świecie zajmującej. Nie wiele jest podobno rozrywek wspólnych dzieciom wszelkich narodowości; przekraczanie granicy od natury zakreślonej, despotyczne narzucanie dzieciom naszym rozrywek i zajęć domowych niemieckich, niemieckiej krwi, niemieckiemu usposobieniu i charakterowi właściwych, poczytujemy — wybaczcie — za gwałt naturze zadany. Niemcy są narodem niesłychanie przemysłowym spekulacya ich jest potęgą z którą żadna siła w świecie nie może iść w porównanie; działa ona tajemniczo a więc najsilniej na tych, którzy jej wpływu i zasadzek nie znają. Wpływa zaś ona najpierw na charakter narodowy, a dopiero później znacznie później na język, ale wpływ wewnętrzny na charakter jest już zastawioną siecią. W książkach dla dzieci całego świata pisanych poruszają oni wcześnie „tak zwane kwestye." Dobrze by to było i u nas wcześnie otwierać dzieciom oczy... ale mniemamy, że tu nigdy nie można być dość ostrożnym w wyborze, bo u dziecka zawsze to najważniejsze, czego się najprzód nauczy... ta kwestya na zawsze będzie dla niego najwyższą, którą najprzód pojmie...

(d. c. n.)

Przegląd literacki.

Wakacye Janka i Zosi — opowiadania o znakomitych wynalazkach przemysłu i sztuki, cudach przyrody i wypadkach codziennego życia — wydane przez *A. z Ch. Borkowską*. Warszawa 1874 w 8-e w. str. 24? z drzeworytami we środku.

Fantazya i Prawda. Kilka nowych powieści poświęconych dla młodocianego wieku p *E. Lej*. Warszawa 1874 w 8-e w. str. 167 z 8-a kolorowanemi obrazkami.

Powieści i opowiadania dla młodego wieku przez *A. z Ch. Borkowską*. Warszawa 1874 r. w 8-e str. 287, z drzeworytami.

Wieczory z Mamunią, czyli trzydzieści moralnych powiastek *Fr. Hoffmanna* z siódmego wydania przełożył *Adolf H.* — z rycinami kolorowanemi. *Warszawa 1874 r. w 8-m str. 371.*

Dawno już bardzo nie zebrała się tak znaczna liczba książek poświęconych dzieciom lub młodemu wiekowi, jak przy schyłku ubiegłego roku. Prawdziwi

jest w czem wybrać, gdyż zdaje się jakby głównie na tego rodzaju wydawnictwo, nakładcy nasi skierowali swoją działalność finansową. Dobre i to w braku lepszego, bo dla niektórych firm księgarskich jest znakiem zbudzenia się z dotychczasowej bezczynności. Na kalendarz, lub książkę dla dzieci łatwiej można się odważyć i zaryzykować grosz jakiś.

Otóż w tym roku nie zbywa nam ani na przedrukach, poprawniejszych wydaniach i tłumaczeniach, ani na oryginalnie napisanych książkach dla młodzieży. Dla wiadomości czytelników naszych wymieniamy tytuły niektórych tego rodzaju publikacyi: *Wieczory w Ojcowie* L. Siemieńskiego, *Mały Henryś* pow. kan. Schmidta tłomaczona przez Chęcińskiego. *Mały poszukiwacz złota*, Gerstäckera tłom. St. Miłkowskiego *Młodość sławnych ludzi* Müllera tł. Chęcińskiego, *Robinson* tł. Chęcińskiego, *Piotr Zamajtys* L. Szyllera, *Listki i ziarna* p. autorkę wieczorów czwartkowych (Zaleską), *Wiązanie dla moich wnuków* T. Dziekońskiego itd. itd. O tych książkach w swoim czasie kilka słów powiemy, dziś zaś chcemy zapoznać czytelnika z publikacyami wymienianemi w nagłówku.

Z przyjemnością zaznaczyć wypada, że w wydawnictwie, mającem na celu zabawę i pożytek młodej generacyi widoczny zrobiliśmy postęp, nie tylko pod względem ilości, ale i jakości wypuszczonych na świat książek. Potrzeby czasu zostają tu więcej uwzględnione: w miejsce niedołężnych powiastek i przeróżnych bajek wierszem i prozą, w miejsce ckliwych morałów wypowiedzianych w formie zużytej, mamy poprawnym stylem pisane bądź swoje bądź przyswojone utwory, w których i umysł i serce młodego czytelnika obfity dla siebie znajduje posiłek, zwłaszcza, że staranniejsza więcej artystyczna forma mile zachęca go do czytania. Realistyczny kierunek odbijający się w całej naszej literaturze, przemaga również, i bardzo słusznie, w książkach, które dzieciom do ręki dajemy. Trudno się bawić w piękne sentymenta, gdy nieubłagana rzeczywistość domaga się jak najkorzystniejszego użycia czasu, domaga się produkcyjnej pracy, do której zawczasu sposobić musimy dzieci nasze, jeżli nie chcemy, aby później zwiększyły falangę biedaków, wyzyskiwanych przez szczęśliwców pojmujących jedynie własną korzyść. Utylitaryzm jest dziś na porządku dziennym: społeczeństwo w ogóle, a w szczególności nasze, zostaje pod jego wpływem, który aż nadto przemagając w życiu, oddziaływać musi na literaturę, a mianowicie też na literaturę pedagogiczną. We wszystkiem przecież jest miara, *est modus in rebus*, dla tego niewszyscy rzucają się rozpaczliwie w objęcia bezwzględnego realizmu, zwykle osuszającego serce i tuczącego najczęściej samolubstwo. Zdrowa część narodu jasno pojmująca obecny stan rzeczy, pragnie mieć człowieka w pełni jego, sił przyrodzonych; kształci rozum, lecz nie zapomina o sercu, ucząc rzeczy pożytecznych praktycznych i nie gubiąc się w płonnym często idealizmie, rozwija jednocześnie najświętsze i najszlachetniejsze uczucia, stanowiące moralną wartość każdego członka społeczeństwa.

Temi widocznie względami powodowane były autorki książki zatytułowanej „Wakacye Janka i Zosi,“ gdzie szczęśliwe znajdujemy połączenie dwóch różnych, lecz wzajemnie dopełniających się zdolności pisarskich. Przedewszystkiem książka ta nie jest nudną, odpowiada swojemu celowi, bo ucząc bawi i bawiąc uczy. Część naukowa, w formie urozmaiconej pogadanki, zapoznaje młodego czytelnika z kolejami, jakie ludzkość przechodziła, nim w sposób jasny i zrozumiały zdołała w piśmie wyrazić swoje myśli i uczucia. Począwszy od symbolicznych znaków, któremi dotąd posługują się dzikie ludy, a dalej znaków chińskich i hieroglifów egipskich, aż do różnych przemian pisma, którego dziś używają wszystkie oświecone narody, dodane są starannie zebrane szczegóły, które nie tylko dzieci, ale i starszych zainteresować mogą. Tak samo traktowane są dość dokładne wiadomości dotyczące wynalazku papieru i druku, przeplatane miłym szczebiotem dwojga wnucząt uczonego dziadka. Część etyczną stanowi list Chińczyka o obyczajach naszych paniątek; zrozumiale i dowcipnie ułożony, karci w samym zarodzie ich próżność i sobkostwo.

Wyższą myśl zawiera powiastka historyczna: „Wojewodzic Spiski“ (opowiadanie wyjęte z kronik węgierskich): powiastka-to piękna, napisana z istotną znajomością naszej przeszłości, Treść bardzo prosta: Jan Tuszo, wojewodzic spiski, pan na zamkach Arwy i Betlemfalwy, widząc się blizkim ruiny majątkowej, spowodowanej wypadkami krajowemi, idąc za radą Tuggiera bogatego kupca krakowskiego, udaje się do Wenecyi, aby tam poznać, choćby z narażeniem życia, tajemnicę oczyszczenia złota od pomieszanych z niem kruszców, a tem samem spożytkować znaczne swoje kopalnie złota zastające dotąd bezczynnemi.

Po różnych, a wielce ciekawych przygodach zdobywa ową tajemnicę, wraca do kraju i żeni się z córką swojego przyjaciela Tuggiera którego znów syn, poświęciwszy się zawodowi rycerskiemu, otrzymuje rękę siostry wojewodzica. Okazano tu, opierając się na szczegółach poczerpniętych z historyi, że nie było u nas, jak chcą w nas wmówić niektórzy pisarze, owej azyatyckiej kastowości w stanach, której bezkarnie przekroczyć nie było można. W tej powiastce spotykamy ciekawe wiadomości o *rycerzach jaszczurki*, którzy tworzyli tajemne towarzystwo, działające przeciw wzmagającej się potędze miast Hanzeatyckich. Szkoda, iż rzecz cała zakończyła się na kilku napomknieniach. Za „Wojewodzicem spiskim“ pomieszczono zanadto anielski obrazek dramatyczny p. n. „Urodziny Zosi“; o ten obrazek wartoby się z autorką posprzeczać, dla czego jej muza była tak jednostronną i niesprawiedliwą dla idei, które z wiarą wybornie pogodzić się dają.

Książkę kończy historya drukarstwa i pamiętnik panny Teressy z prawdziwym talentem i piękną tendencyą skreślony.

(d. c. n.)

WYJĄTKI Z ARTYKUŁU
ZAMIESZCZONEGO W PIŚMIE
Oteczestwiennya Zapiski

p. t.

Zarysy umysłowego rozwoju społeczeństwa (*)

1825—1860.

Spotkanie się Hercena z Bielińskim, przyjazd jego do Petersburga jak niemniej wejście do Redacji pisma: „Oteczestwiennyja Zapiski“ stanowczo wpłynęły na zmianę zasad tego ostatniego.

Nie mówiąc już o wpływie jaki na pojedynczych, zamkniętych w pewnem kółku ludzi wywierają opinie i zdania innych, najdzielniej usposabiają do zmiany usposobień podróże, oddalenie się z miejsca pobytu i różnorodność zajęć. Widzieliśmy już to zjawisko; Stankiewicz już nie był tym samym człowiekiem, po wyjeździe swoim z Moskwy za granicę: i on również ulegał wpływowi filozofii Hegla i jego duch zagłębiał się w tajniki oderwanych sfer, które poprzednio uważał jako wzniosły cel życia. To samo sprawdzić możemy na Bielińskim, po wyjeździe jego do Petersburga.

„Lubo mieszkaniec Moskwy oryginalniej i samoistniej myśli jak *petersburgczyk*, jednakże prędko oswaja się z Petersburgiem, mówi Bieliński w artykule p. i „*Moskwa i Petersburg,*“ gdzież wnikają owe bystro lotne marzenia, idealy, teorja i fantazja! Pod tym względem Petersburg jest probierczym kamieniem, na niektóre natury oddziaływa korzystnie, wytrzeźwia: z początku zdaje się wam, że w tej atmosferze, jak listki u drzewa, tak w naszym umyśle znikają najdroższe sercu przekonania, lecz wkrótce przekonywacie się że to tylko marzenia, zrodzone w uroczystych chwilach życia; powstałe ze świadomości rzeczywistej prawdy i uczujecie tęsknotę, smutek lecz wiele w tej tęsknocie i smutku świętego, ludzkiego..... Cóż znaczą marzenia? Najwyższe z nich nie ważą tyle, co prawda gorzka w ustach dzielnego człowieka, dla tego że kłamstwo, pozór jest szczęściem głupca, kiedy przeciwnie rozczarowanie dzielnego umysłu, jest prawdą idącą w przyszłość...

Myślelibyśmy jednak błędnie, gdybyśmy przypuszczali, że Bieliński pozbył się swoich teorji i fantazji, jak się pozbywa drzewo liści w jesieni, że zmiana ta nastąpiła podobnie jak zmiany aktów w balecie. Przeciwnie, całe lata, umysł Bielińskiego przygotowywał się do przyjęcia właściwych przekonań; w tym czasie przechodził on perjod refleksii i wątpień. Wszystkie te refleksje i wątpienia, rzucanie się na oślep w chaosie ciągłych sprzeczności, jednako działały tak na Bielińskiego jak jemu współczesnych.

Turgeniew, w wspomnieniach o Bielińskim, tak o tem mówi:

„Wkrótce po zabraniu z nim znajomości (1843) uważałem, że na nowo dręczyć go poczęły te same pytania, które nie dają spokoju w młodości, jakie albo rozwiązane być nie mogą lub też zaledwie jednostronnie załatwić się dadzą, mianowicie: pytania filozoficzne o znaczeniu życia, o stosunkach ludzi między sobą, szczególniej przyjaciół względem przyjaciół, o początku świata, o nieśmiertelności duszy itd. Nie posiadając żadnego obcego języka (Bieliński czytał z trudnością dzieła w języku francuzkim) i nie znajdując w ruskich dziełach nic, coby zrodzone wątpliwości rozstrzygnąć mogło, Bieliński mimowoli szukał towarzystwa przyjaciół, rozkoszując się rozmową i nawzajem zarzucając pytaniami z zapałem wrodzonym namiętnej jego duszy łaknącej prawdy. W chwili poznania się naszego, Bieliński właśnie podlegał tej gorączce wiedzy, był w perjodzie zwątpienia, To go pozbawiało snu i apetytu, zwątpienia paliły go jak ogniem, nic go powstrzymać nie mogło od dociekań, dniem, nocą zajmował się rozwiązaniem kwestyi, które sam sobie zadawał. Często kiedy przyszedłem do Bielińskiego, ten natychmiast zrywał się z sofy gdyż właśnie wówczas zachorował na zapalenie płuc i o mało niepożegnał się ze światem. Blady, wychudzony i zaledwie dosłyszanym głosem nieustannie pokasłując, w stanie gorączki z rumieńcem jaskrawym na policzkach, wszczynał zaciętą a wczoraj niedokończoną dysputę. Ulegałem wpływowi jego otwartości, nieznany ogień rozgrzewał moją wyobraźnię, mimowolnie zapał jego owładał moim umysłem, lecz po dwóch godzinach podobnej dyssertacji, czułem się bezsilnym, młodość domagała się swych praw, pragnąłem odpoczynku. Nawet żona Bielińskiego błagała go o przerwanie na chwilę nużącej rozprawy, prosiła go o przyjęcie jakiego pokarmu lecz z Bielińskim trudno było poradzić.

---

(1) Dajemy tu wyjątki z obszernej pracy p. Skabiszewskiego, literata ruskiego, pod powyższym tytułem zamieszczonej w piśmie: „*Oteczestwiennyja zapiski* za r. 1871.

— Myśmy jeszcze nie rozstrzygnęli pytania o istności Boga, rzekł raz do mnie z gorzkim uśmiechem, a panu się jeść zachciewa.

Ten stan umysłu odbił się w pracach Bielińskiego, szczególniej w epoce współpracownictwa jego w „*Oteczestwiennych zapiskach*." Przeglądając artykuły Bielińskiego z kolei, łatwo spostrzedz, jak on stopniowo przerzuca się z obozu Hegla, do obozu *Feuerbacha*; zrzekając się zasad idealnych, coraz więcej upaja się rzeczywistością, realizmem, nareszcie z ideologa, z proroka sztuki dla sztuki, zmienia się w opowiadacza sztuki dla życia.

W r. 1839, kiedy Bieliński przybył do Petersburga, jeszcze wyznawał wywiezione z Moskwy idee. Pierwszą pracą jego, jaką zamienił w „Oteczestwiennych zapiskach" były: *Urywki o wojnie pod Borodzinem*; *Mencel, krytyk Getego*. W r. 1840, wydrukował artykuł krytyczny, o komedjach: Gogola Rewizor, i Biada temu kto ma rozum („*Gore ot uma*") Gribojedowa. W nim, Gogol, przedstawiony jako najznakomitszy pisarz komedii, a jego komedja jako ideał, z powodu tendencji objektywnej, zaś „*Gore ot uma*" zalicza do tworów sztuki, z powodu przeważającej w niej satyry.

Lecz i w tym artykule, bez względu na pomieszczone w nim teorje, widzimy przejawianie się nowego zwrotu ducha. Bieliński głęboko przyswoił sobie heglowskie zasady i daleko lepiej od innych pojmować je zaczął. Już nie wszystko, co jest rzeczywiste, nazywa rozumnem i nie przepowiada już, zgody życia, w sferze oderwanych pojęć, przeciwnie, rzeczywistem nazywa to, co jest rozumnem w życiu resztę odnosi do kategorji pozorów.

„Rzeczywistość, mówi on, jest we wszystkiem tem, co objawia ruch, życie i miłość: wszystko zaś jest martwe, chłodne, nierozumne i egoistyczne, co pozbawione tych warunków."

Stosownie do tego, dzieli on i poezją, na rzeczywistą — działalność rozumną i oderwaną — świat abstrakcji.

(d. c. n.)

Korespondencja z Paryża.

Paryż 3 stycznia 1874.

Otóż i rok 1873 zapadł w otchłań wieczności i prawdę mówiąc wielkiego żalu nie zostawił po sobie, a ktoby chciał pisać jego życiorys, nie spracowałby się bardzo. W ogóle był czczy i nudny i niczem się nie odznaczył, czy nowo narodzony będzie lepszym? Możem przynajmniej łudzić się nadzieją, bo przyszłość to wielki kapitalista, z dobrze napchanym obietnicami portfelem. Już ostatnie parę dni poprzedzające rok nowy, jakoś inaczej się tu przedstawiały niż inne ubiegłe, w których powszechnie się uskarżano na zastój w przemyśle i handlu. Niktby temu nie uwierzył patrząc na te niezliczone tłumy snujące się po ulicach i zapełniające sklepy; widać pieniądze skądciś napłynęły bo nikt bez nich nie wyszedł na miasto, każdy coś kupował i nie raz duże paki dźwigał do domu.

Nawet baraki na bulwarach straciły dawną prostaczą powierzchowność i w strojniejszych wystąpiły szatach, a chodniki zastawione były tak przenośnemi sklepikami że zaledwie w pośród nich przechodzić można było. Kupujących natłok był ogromny, zwiększony jeszcze wielką liczbą ciekawych pustaków, którzy nic nie kupując przyglądali się zakupom robionym przez innych, dowcipkując i różne wyprowadzając wnioski. Przechodziłem właśnie gdy znana osobistość, p. Laboulaye, wyszedł z cukierni z ogromnym pakietem cukrów.

— Widać chce ułagodzić swoich sąsiadów w Izbie, rzekł ktoś z przechodzących. Na innej ulicy szedł jeden z ambasadorów pierwszorzędnego mocarstwa, a za nim posługacz sklepowy niósł ogromnego słonia.

— To pewnie tajemnica dyplomatyczna, rzekł do mnie jeden ze znajomych, na co hrabiemu ten słoń? Pewnie odegra jakąś rolę polityczną...

Rozśmiałem się;—wiesz przecie, żartownisiu, że hrabia ma synka i dwie córeczki...

— Szczególniejsze wybiera im zabawki, odrzekł mój towarzysz.

Na kilka już dni przed Nowym Rokiem, tłumy roją się po mieście a gdy mrok zapadnie, strumienie światła rozchodzą się po ulicach i placach. Wystawy sklepowe oświetlone są tak jasno, iż łuny światła od nich biją, a po chodnikach, oprócz zwykłego gazowego oświetlenia, płonie 20,000 różnokolorowych latarń które zapalają właściciele sklepów pod gołem niebem.

Kiedyś, bardzo już dawno temu, cały piękny świat uczęszczał na rynki i bulwary gdzie wznosiły się owe kolendowe sklepy i kramiki; dziś czasy się zmieniły strojne towarzystwo znalazło sobie inny punkt zebrania, a mianowicie Hotel des Ventes, w którym odbywają się publiczne licytacye. A jakież to drogocenne przedmioty wystawiają tu na sprzedaż! Nie dawno temu jedna z pierwszorzędnych dam kameljowych przeniosła się do wieczności, przeniesiono do Hotelu des Ventes wszystko co pozostało po niej, gdyż cała spuścizna składała się tylko z ruchomości. Były to drogocenne meble z drzewa różanego, srebra i zastawy stołowe, piwnica suto zaopatrzona, powozy, konie, klejnoty, stroje, suknie, bielizna i nakoniec dzieła sztuki. Taksatorowie ocenili to wszystko na miljon franków, a jak mówią, samych sukien było tam za 300,000 wyraźnie *trzy-kroć-sto-tysięcy franków*.

Tak ogromna summa zmarnowana na garderobę jednej hetery! Wymowny to kommentarz tegoczesnej moralności i obyczajów. Uczciwi ludzie nawet pojęcia nie mają jak można tyle wydać na fatałaszki, nie tylko najbogatsze osoby prywatne, ale nawet pewno żadna z panujących *stosunkowo* i dziesiątej części tego nie wydaje na stroje. Wszystkie te suknie są prawie zupełnie nowe, będą miały mnóstwo pretendentek i kto wie, może nie jedna uczciwa kobieta nosić będzie tę spuściznę po rozpustnicy!... O tempora! o mores!...

Trudno jakoś dobrać miejscowości w której możnaby dawać bale, mogące zastąpić sławne bale Opery, która stała się pastwą płomieni. Probują dawać je w Folies—Bergére, i w Valentino. W Folie było dużo czarnych fraków i zdawało się, że tam zbierać się będzie dawne towarzystwo z Opery, ale jakoś zaczynają się wciskać i surduty. Co do kobiet bywają też same lub takie same przy ulicy Le Peletier, ale zbyt szczup'a miejscowość i niedogodne *foyer* tego teatru, może zaszkodzić powodzeniu.

Miesiąc Grudzień jest w Paryżu jakby przedświtem karnawału i niemal niemylną wróżbą czy zapusty będą bardzo ożywione lub nie. W tym roku wysokie sfery paryzkie dają znaki życia, reuniony, przyjęcia, obiady i polowania już się rozpoczęły. W pałacu Bellevue, był nadzwyczaj świetny obiad u baronowej de Bussieres; książe Sagau, wyprawił świetne polowanie w Valencay a hrabia Filip de Luort w pałacu de la Pierre. Dalej księżna Czartoryjska, z domu księżniczka Nemours, zamieszkała w Paryżu w pałacu swoim, nader świetnie urządzonym, ma dawać świetne bale i przyjęcia. Tak więc wyższy świat zamyśla bawić się wesoło, napływ cudzoziemców zwiększa się z dniem każdym, ale w klassach niższych wielka bieda, brak roboty, w handlu i przemyśle stagnacja i brak ruchu.

Znać to było i podczas minionych Świąt Bożego Narodzenia; w klassach zamożniejszych i w arystokracyi ucztowano i hulano, składano sobie wizyty lub posełano sobie bilety i kolendy, ale na przedmieściach zamieszkanych przez robotników, zwykle tak w tych dniach gwarnych i ożywionych, pusto było i głucho, a wielu z tych biedaków nie tylko lepszego jadła, ale chleba nie mieli.

Teraz jeszcze muszę wam donieść czem się przez adwent zajmowano w najarystokratyczniejszych salonach paryzkich, jak między innemi u księżnej de Millé, hrabiny de Moustioc, księżnej Fity-James, hrabiny de Castries, hrabiny Rohan-Chabot, wice-hrabiny de Larochefoucauld i kilku jeszcze innych. Oto układają nowego kadrila, który nazwano *Kadril Chambord*. Kadril ten rozpoczynać będzie zabawy wielkiego świata i zajmie stanowisko jakie lansier zajmował na dworze cesarskim. Figury są liczne i nader zręcznie ułożone; można go tańczyć w cztery lub ośm par; jest to taniec prawdziwie salonowy, odznaczający się oryginalnością pomysłu i niezrównanym wdziękiem, patrząc na niego, znać że powstał i wzrósł w salonach wielkiego świata. Twórcy tego kadrilla pragną go wyłącznie dla siebie zachować, i w takiej chowają tajemnicy, że dotąd ani układu ani muzyki nie dostanie w całym Paryżu.

Szanowany obywatel, dawny notaryusz z miasta Aresnes (Nord), powziął pomysł który jednych ucieszy a drugich rozłości. Wnosi on wniosek do Zgromadzenia narodowego drogą petycyi, aby nałożyć podatek na bezżennych. Nie można zaprzeczyć że petycya ta ma pewną doniosłość moralną i finansową. Porównawszy kilka rodzajów podatku, wnioskodawca zaprowadza niejakie stopniowanie; wnosi aby kto nie ożenił się do pewnych oznaczonych lat, opłacał skarbowi podatek, corocznie powiększany. I tak proponuje:

Od	25	do 26	lat	100 fr.
Od	26	„ 27	„	200 „
Od	27	„ 28	„	300 „
Od	28	„ 29	„	400 „
Od	29	„ 30	„	500 „

Po 30 latach, każdy bezżenny ma płacić do ustania przestępstwa, 1000 fr. rocznie.

Nie można przeczyć że podatek ten znalazłby licznych stronników a szczególniej zwolenniczek, i może oddziałałby skutecznie na wielu zapominających o tym obowiązku względem kraju i społeczeństwa. Już i w Anglii nie jednokrotnie poruszano tę kwestję, tylko więcej humorystycznie niż poważnie. Powyższa petycya od kilkunastu dni została złożona kwestorowi Izby deputowanych i można się spodziewać iż wielki będzie miała rozgłos. Ciekawa rzecz jak dawny notaryusz wykaże możliwość ściągnięcia tego podatku, z takich co żadnych lub choćby dających się udowodnić nie posiadają funduszów.

Dnia 8 Grudnia odbył się pogrzeb Franciszka Hugo, tłum 50,000-ny odprowadził zwłoki ostatniego już syna znakomitego wieszcza Francyi, na miejsce wiecznego spoczynku. Nieszczęśliwy ojciec szedł za trumną w towarzystwie pp. Augusta Vacquerie i Pawła Meurice. W orszaku pogrzebowym znajdowało się wielu bardzo członków Zgromadzenia Narodowego, i wszyscy znakomitsi pisarze i artyści, oraz przedstawiciele wszystkich organów prassy paryzkiej. Nad mogiłą przemówił znany Ludwik Blanc — grzmiące oklaski wielokrotnie przerywały mu mowę—zamyślano zrobić owacyę umiał jej uniknąć, prędko wsiadając do powozu. Pogrzeb odbył się bez assystencyi duchowieństwa, co na wielu zebranych nader przykre wywarło wrażenie.

Franciszek Wiktor Hugo urodził się w r. 1829; zawód literacki rozpoczął w 1848 jako jeden z zało-

życieli gazety „Èvenement.” Po grudniowym zamachu stanu udał się z ojcem na wygnanie i podczas pobytu na wyspach Normandzkich, napisał znane dzieło: „La Normandie inconnu.” Głównie sławę swą literacką zawdzięcza przekładowi wszystkich dzieł Szekspira, który jest najlepszy ze znanych dotąd przekładów francuzkich; pisał także powieści.

Znany zaszczytnie z wielu dzieł naukowych, Ferdynand Hoefer, autor historyj, chemji, fizyki, botaniki i zoologji, wydał obecnie „ Historyję Astronomji.” Jest to dzieło doskonale napisane, cenione przez uczonych a przytem dostępne dla pragnących obznajmić się z tą piękną nauką. Nader zajmująco opisany tu jest początek, i przebieg astronomji u Hindusów, Chińczyków, Chaldejczyków i Egipcyan, jej stopniowy postęp aż do świetnych tegoczesnych odkryć.

Dzieje astronomji są najwierniejszem odbiciem rozwoju prawdziwych postępów umysłu ludzkiego. Dzieje narodów, dynastyj, religji, przedstawiają alternatywy światła i ciemności, wielkości i upadków, wojen i rozejmów, a często, niestety! zwalisk, łez i krwi, kiedy przeciwnie rozwój nauki nieba wykazuje wolny lecz nieustający przebieg pracy umysłu ludzkiego, od czasu pierwotnej ciemnoty aż do obecnej epoki, kiedy już możemy wymierzyć odległość dzielącą nas od gwiazd, i analizować substancye płonące w słońcu. Dziś, mówi Kamil Flammarion, widzimy światy toczące się pod naszemi stopami; czujemy że ziemia biegnie i unosi nas w nieskończoność przestrzeni, i wyrobiliśmy już sobie pierwsze niezbędne zasady do odgadnięcia *nieznanego życia*, promieniejącego na powierzchni innych światów nieba. Astronomja nie ma ani ojczyzny ani dogmatów, wolna jest od łez i krwi, i zawsze czysta i nieskalana wznosi się i rozjaśnia boskiem światłem nieba. Nauka ta największy przynosi zaszczyt umysłowi ludzkiemu, uwydatnia najlepiej najszlachetniejsze władze i zdolności ludzkie, ona to jest *oswobodzicielką* ludzkości. Tak jest, nie Kromvell, nie Washington, Mirabeau i Robespierre, ale Kopernik, Galileusz, Kepler i Newton, są najznakomitszymi reformatorami, gdyż oni to świat nasz na nowe popchnęli tory.”

Wyszedł obecnie nowy tom znanej *Biblioteque des merveilles*, p. t. Cuda fotografji. G. Tissandier. I rzeczywiście właściwa to nazwa, bo cóż może być cudowniejszego jak fotografja, na której wytwory z taką już przecie patrzymy obojętnością. Ziemia nasza obraca się tak prędko, że najazutrz zapominamy wczorajszego położenia, i zdawałoby się że myśli nasze mnożą się i ulatują daleko śpieszniej, od chwili gdyśmy poznali szybkość obrotów ciał niebieskich. Zaledwie czterdzieści siedm lat minęło od chwili podpisania pierwszego układu między Niepce'em a Daguerre'm, a dziś już pełno fotografistów we wszystkich miastach europejskich, i fotografie tak spowszedniały, że na najlepsze zaledwie zwracamy uwagę. Dla ogółu ludzi cała wartość fotografi i zasadza się na mniej więcej trwałem od tworzenia rysów twarzy, posągu lub krajobrazu: lecz nie na tem koniec. Obecnie tak jest ona udoskonaloną, tak wysoko stanęła jako sztuka, iż oddaje wielkie, bezpośrednie usługi innym naukom i sztukom. Fotomikrografja odtwarza wybornie stokrotnie powiększoną postać owadu niewidzialnego gołem okiem, rysuje molekularne uszykowanie minerałów, jakoteż roślinne i zwierzęce, wykazuje kulki krwi i delikatną zwierzchnią powłokę biednej gąsiennicy. Wiadomo także że fotografja została zastosowaną do słońca, księżyca, planet a nawet i gwiazd, że od lat już kilku zdejmują codziennie *portrety słońca*, wykazujące nieustanne zmiany jego postaci i planu. Zwłaszcza fotografje księżyca są tak dokładne, iż można z nich poznać doskonale góry i krajobrazy tego planety.

W zastosowaniu do meteorologji zastępuje teraz najdoskonalszych dostrzegaczy, odtwarzając z najdokładniejszą ścisłością stan nieba, ruch barometru i termometru, wiatru, igiełki magnesowéj. itp. co dozwala zbierać i sprawdzać jednocześnie liczne spostrzeżenia i nadać meteorologji podstawę jakiej jej dotąd brakuje. Nie dość na tem teraz już nawet fotografja sama *drukuje*, a książka p. Tissandier podaje próby, wykazujące jasno artystyczną wartość i praktyczną doniosłość nowego tego zastosowania.

Pan Guillemin, wydał dzieło p. t. Zastosowania fizyki, przedtem już opisał fenomena fizyki, teraz jej zastosowanie do sztuk. przemysłu i nauk. Tu widzimy jakie zmiany zaszły w dawnym porządku świata od czasu odkrycia czynników rządzących wszechświatem. Dziś w ciągu dziewięciu dni możemy przebyć Atlantyk i dostać się z naszego starego lądu do nowych światów, odkrytych przez Kolumba przed niespełna czterystu laty. Dość kilku dni aby przebiedz całą Europę i Azyę, dość kilku sekund aby wyprawić depeszę telegraficzną z Europy do Ameryki i odebrać odpowiedź. Piszemy własnoręcznie bilecik np. z Paryża do Marsylji a wiernę *fac—simile* naszego pisma odtwarza się i przenosi o 864 kilogramów odległości.

Księżyc oddalony mil, od ziemi o 52,000 możemy zbliżyć na odległość tylko 30 mil dla dokładniejszego zbadania jego powierzchni, a nawet obecnie zamierzają w Ameryce zbudować olbrzym teleskop, który ma zbliżyć księżyc tak niesłychanie, iż tylko 2 mile niecałe będzie odległy.

Słońce razi i olśniewa, jednak potrafiono zmierzyć je i zważyć, dowolnie blask przyćmiewać, aby rozebrać gaz płonący w około niego, którego płomienie mają 30,000 mil wysokości.

Na powierzchni znów ziemi, mikroskop odkrył istnienie niewidzialnego świata, bez porównania więcej zaludnionego niż ziemia nasza. Chmury podnoszą się z mórz i wiatr przenosi je nad nasze głowy, a dumny z balonu swego areostata przebywa je prędko, unosząc się coraz bliżej słońca coraz dalej od tego padołu łez i boleści. Ani czary średniowieczne, ani bajeczne legendy wschodnie nie wytworzyły nic, coby mogło iść w porównanie z cudami jakich dokonała nauka, a jakie stały się zdobyczą XIX wieku.

Nie odstępując od zasad ścisłej nauki p. Guillemin wyraża się tak jasno i dostępnie dla nie' wtajemniczonych w jej tajniki, iż książkę jego śmiało polecić możemy.

Fejletonista Eugeniusz Morel, napisał nowy romans p. t. Kobiety ze złotem sercem. Jest to pisarz bardzo zdolny, uczciwy, sumienny i dobremi kierujący się dążnościami, a nowa ta jego powieść dziesięć razy więcej warta, od wielu wielkim cieszących się rozgłosem.

W nowym zbiorze Jannet'a wyszła powieść p. t. *Celestyna* p. Fernanda de Rojas, tłomaczona z hiszpańskiego. Romans ten sięga XV wieku, napisany był bowiem w 1492 roku: Calderon i Lopez de Vega czerpali z niego treść do najlepszych swoich dramatów. Moratin bardzo słusznie nazwał *Celestynę nowellą dramatyczną* jest nadzwyczaj zaciekawiającą, zabawiającą prawie nie dającą się naśladować. Czegoż bo nie ma w tej powieści! Czytelnik znajdzie tu sens moralny, poezyę, przygody miłosne, tragiczność, dramatyczność i Bóg wie już nie co Typ marnotrawcy Kaliksta nakreślony jest mistrzowsko bohaterka niezatartemi zgłoskami zapisuje się w pamięci. Autor tej powieści—dramatu, był jednym z tych rzadkich i potężnych mistrzów, których literaci mianują wielkiem mianem poprzedzicieli. (d. c. n.)

O uczeniu dzieci Jeografii.

Nie podlega żadnej wątpliwości, że Jeografija sama, w sobie uważana, zajęta jedynie wyliczaniem krajów, miast, ludności, mórz, oceanów, rzek, jezior, wysp. przylądków i t. p. jest nauka sucha i niezmiernie nudna, którą w młodym wieku kładłem na równi z gramatyką i deklamacyą niemiecką, stanowiącemi dla mnie prawdziwe tortury. Uczyłem się też tego wszystkiego jedynie dla wydania lekcyi, gdy ta zaś przeszła, w głowie nie pozostawało prawie śladu i o Pekinie lub Sycylji słuchałem jak o żelaznym wilku: deklamacya zaś zdawała mi się niemieckiem kazaniem, a ja jego najpokorniejszym słuchaczem.

Byłaż to wina moja czy systematu naukowego? Sądzę że bez grzechu systemat można o to obwinić zwłaszcza, że gdym przez nowego korepetytora egzaminowany, zacząłem z jeografji pleść smalone duby, mięszać wszystko jak groch z kapustą i rzeki brać za stolice, nazwy krajów za miasta, a miasta za cieśniny lub wyspy, zrozumiał zaraz przyczynę chaosu.

Odtąd więc naukę jeografji odbywałem jedynie przy mapie, a gdy na nowo przeszedłem wszystkie części świata, i nauczyłem się wskazywać na niej każdy szczegół, cała elementarna część tej nudnej nauki, jakoś uporządkowała mi się w głowie, części świata wystąpiły, niby zwierzęta wypchane w gabinecie i uczułem po raz pierwszy, że coś umiem, pamiętam i mam o tem pewne wyobrażenie.

Później zasadził mnie do rysowania mapy, objaśnił, pokazał, wytłomaczył stopnie szerokości i długości, kazał samemu papier do tego przygotować, podzielić na owe stopnie, polinjować i kratki zapełniać według głównego rysunku. Dziś choć po półwiecznem życiu pamiętam dobrze tę czynność, kłopotanie się, aby której kratki nie pominąć, przyglądanie się im, i radość gdy pierwsza Europa zajaśniała w konturach a korepetytor pochwalił ją i kazał pooznaczać szczegóły i ukolorować wodnemi farbami. I to mi dało wiele do myślenia: jaki kształt nadać szczegółom ważniejszym i jakim co oznaczyć kolorem. Pamiętam namysłu było niemało a do narady postanowiłem nawet przypuścić malarza Lampiego, który jako pierwszorzędny artysta, znany powszechnie w Warszawie, malował portret mojej ciotki.

Był to systemat nauki jeografji, bez porównania lepszy od dawnego i co umiem z niej jemu wyłącznie zawdzięczam. Suchy zatem jej wykład elementarny, potrzebuje koniecznie aby plastyczność, uzmysławiająca niejako naukę, przychodziła w pomoc, aby uczący się nie tylko wiedział że Londyn jest stolica Anglji, ale i widział jak ta Anglija wygląda.

Łamigłówki jeograficzne ułożone według systematu Froebla mają to właśnie na celu. Dziecko pragnące z kawałków takiej łamigłówki ułożyć całą mapkę, musi się im przyjrzeć, przeczytać napisy, poznać z nich do jakiego należą kraju. potem kawałki według tego porozdzielać i dopiero ułożyć całość. która jako owoc dość mozolnej pracy mianowicie przy pierwszem układaniu, a jednak nie nudzącej. raz, drugi, dziesiąty i setny rozrzucona i na nowo ułożona, z pewnością tak utkwi w głowie jakby gwoździem przybita, że jej nic już z pamięci nie wypłoszy. Wszelkie podobne ułatwienia w nauce niezmiernie są ważną rzeczą a nawet gdyby cała nauka w latach dziecinnych, mogła być dzieciom podawana pod postacią zabawy przynajmniej w klasach elementarnych, byłoby to arcy-wyborną rzeczą. Długo na potrzebę tę nie zwracano nawet uwagi, za granicą już oddawna w tym kierunku pracują, u nas jak zwykle zaczynamy się poruszać dopiero, a do objawów tyle pożądanej zmiany, śmiało łamigłówki jeograficzne policzyć należy.

Dotąd wyszło ich kilkanaście w trzech językach po polsku, rosyjsku i niemiecku. Obejmują oprócz planiglobu i części świata, oddzielne mapy państw rozmaitych rozdzielonych według miejscowego podziału i to w dwóch formatach mniejszym i większym. Cena łamigłówek mniejszego formatu kop. 75 wynosi: większego rs. 1 kop. 50 W ozdobnych pudełkach rs. 3. Zdaje nam się że ozdoba taka to zbytek, pocóż więc jej używać. Zbytek sam z czasem przychodzi, a przynajmniej każde dziecko ma do niego skłonność wrodzoną, nie należy zatem podsycać go, ale przytłumiać gorliwie wszelkiemi sposobami. *G.*

Przyjaciela dzieci N. 3. wyszedł z druku i zawiera:

Cena w Warszawie kwartalnie kop. 75. Na prowincyi w Cesarstwie z opłatą pocztową rs. 1.

Adres przesyłając na prenumeratę: Do J. K. Gregorowicza ulica Żabia N. 956.

Do dzisiejszego numeru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzewerytami.